

Dwaj filozofowie



ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

Dwaj filozofowie

Izos nikogo nie kochał, prócz swego ucznia Dinamosa. Kiedy był młodszy, kobiety trącały swymi urokami o jego serce, które jak dzwon odbrzmiewało ku nim czystym tonem uczucia, ale milkło wkrótce; nie poślubił żadnej, ażeby — jak mówił — nie zniechęcić się do wszystkich. Według niego życie ludzkie podobne jest do skrzyni, napełnionej szczerlnie różnokształtymi kamieniami, które tłuką się o siebie i kruszą podczas jazdy nierówną drogą; leżąc zaś zdaleka lub przedzielone, nie uderzałyby się i nie niszczyły wzajemnie. Śród ciał martwych trudno znaleźć dwa, któreby przystawały do siebie ściśle, a ludzie sądzą, że śród daleko liczniejszego i daleko bardziej w swych jednostkach różnorodnego społeczeństwa mogą dobrać tyle istot współmiernych, ile im się podoba. Więc Izos nie zawiązywał stosunków bardzo bliskich, chociaż szczerze miłował cały ród człowieczy. Jednego tylko Dinamosa wyłączył i ukochał. Tłómaczył się przed nim z tej słabości:

— Nie uprzędziesz takiej nici, któraby była bezwzględnie równa i nie miała najmniejszego zgrubienia; nie wydobędziesz takiego dźwięku, któryby od początku do końca przebrzmiał z jednaką siłą; nie wytworzysz takiej harmonii, któraby się nie chwiała w żadnym punkcie. Ty jesteś kwiatem mojego uczucia, ale kłakolem mojej filozofii.

A tę filozofię wraz z uprawą krzewu winnego szczepił starannie w duszy Dinamosa. Wziął go do siebie małym sierotą, może skazanym na śmierć przedwczesną, przypuszczając, że znajdek nie wpije mu się jak kleszcz w serce i nie naruszy jego równowagi uczuciowej. Chłopiec jednak źle mu się odwdzieczył za opiekę, bo zbudził w nim głębokie, niemal ojcowskie przywiązanie. Był nietylko dobry, miły, ładny, ale nadto w duszy bogaty. Daremnie wszakże Izos, który do lat 20 nigdy się z nim nie rozstawał, przelewając swoje myśli do jego głowy, usiłował, żeby one w niej osiadły kryształami czystego, beznamiętnego rozumu: Dinamos roztopiał je w ogniu gorącego serca. Podczas gdy każde słowo starca było grudką lodu, każde słowo młodzieńca było węglem żaru. Pierwszy starał się wszystko zrozumieć i wytłómaczyć, drugi — kochał lub nienawidził.

Przy każdej sposobności, zarówno podczas pracy, jak długich przechadzek, Izos oziębiał i otrzeźwiał swego wychowanka, a chłopiec coraz bardziej się rozpałał i rozmarzał. Razu pewnego zbierali wspólnie grona w winnicy i, jak zwykle, rozprawiali łagodnym sporem o wzajemnych różnicach pojmowania świata.

— Gdyby miłość — mówił stary — była wdzięcznością, a nienawiść zemstą, rozum by ich się nie wyparł. Ale jakże można okazywać wdzięczność albo zemstę temu, co istnieje bez zasługi lub winy? Że kobieta jest piękna lub brzydka, sędzia sprawiedliwy lub przekupny, przyjaciel wierny lub zdradziecki, to nie wynikało ani z ich złego, ani dobrego postanowienia. Takimi ich stworzyła i być kazała natura. Dlaczegoż nikt nie kocha winnych jagód za to, że są słodkie i pożywne, a nie potępia wilczych za to, że są szkodliwe i trujące?

— Kocha i potępia — odrzekł Dinamos — bo pierwsze hoduje i zbiera, a drugie niszczy i odrzuca. I ty ojciec to samo robisz, co wszyscy.

— Bo jeszcze jestem trochę głupi. Głowa moja podobna do nadtluczonego garnka, w którym można coś ugotować, ale który ciecze. Zresztą wiesz co, mój chłopcze, przekonałem się, że samem dowodzeniem nie nauczę cię tego, czego bym nauczyć pragnął. Widocznie mam za mało rozumu, ażebym mógł nim obdzielić nas dwu, a ten krążek życia, w którym się obracamy, jest za ciasny, ażeby ci zdołał otworzyć szersze widoki. Więc idź w świat daleki, a gdy rozejrzysz się po nim uważnie, wróć do mnie. Może wtedy dusze nasze wzajemnie w sobie przegłądać się będą.

— Zaciążyłem ci już ojcie, chcesz mnie się pozbyć, powiedz otwarcie.

— Nie zaglądamy mi za słowa, bo w nie szczerze całą myśl moją włożyłem. Oddawna już wyrzucam sobie, że cię trzymam i dmucham jak we flet dla wydobywania melodii której zagrać nie umiem. Zobaczą, jak cię świat nastroi. Przygotowałem ci dosyć pieniędzy na rok cały.

Dinamos wyjechał. Zwiedził Grecję i jej kolonie azjatyckie, przypatrywał się ludziom, obcował z filozofami, wreszcie z obfitym plonem doświadczenia i wiedzy, ciągniony coraz silniej tą nicią, która jego serce z sercem Izosa związała — wrócił.

Stary powitał go radością i rozrzewnieniem. Przez kilka miesięcy Dinamos opowiadał mu szczegółowo swoją podróż. Gdy już przesnuł cały jej wątek, Izos zapytał go:

— Czy ciągle kochasz i nienawidzisz ludzi?

— O, tak — rzekł młodzieniec — a nawet teraz jeszcze bardziej, niż przedtem. Poznałem najrozmaitszych, miłości lub potępienia godnych. Za jednych oddałbym życie, dla drugich żałowałbym sznurka na stryczek.

Izos smutnie spuścił głowę, przygnębiony nie tylko zawodem nadziei zmian w naturze wychowanka, lecz także wątpliwością co do własnej filozofii, do której pragnął go nawrócić. Czyżby ona była istotnie mylna? Czyżby w umysł tego chłopca lepsza mądrość odbłaski swego światła rzuciła? Nie. Skrzeple i stężale przekonania starca nie tak łatwo dały się skruszyć młodej sile. Po chwili milczenia zapytał:

— Któryż z filozofów wydał ci się bogom najbliższy?

— Plato — odrzekł z zapalem Dinamos. — On nie domyśla się prawd, ale je objawia. Każde jego słowo jest gwiazdą w ciemność spadającą.

— Prości jednak wieśniacy lekceważą go, bo nie umie sprowadzać deszczu. Jak sądzisz, czy posąg Ateny byłby odpowiedni na kowadło?

— Cóż znowu! Pękłby pod pierwszym uderzeniem młota.

— I ja tak mniemam. Czy wielu po drodze znalazłeś przyjaciół?

— Kilku mogę śmiało nazwać tem mianem. Zwłaszcza Nikon z Efezu tak mnie rozczulił swoją szlachetną dobrocią, że nikomu z serca mojego nie ustąpi.

— Cóż ci takiego zrobił?

— Długo musiałbym mówić o jego zacnych usługach. Wspomnę tylko jedną. Kiedy zachorowałem, przerwał swoją praktykę i nie wyszedł z mojego mieszkania, dopóki mnie nie wyleczył.

— Więc innych chorych opuścił?

— Wszystkich.

— Nie dowiadywałeś się, co o nim powiedzieli?

— Może go nazwali nicponiem, ale co mnie to obchodzi! Dla mnie był dobroczyńcą.

— Zapewne. Czy żadna kobieta cię nie odurzyła?

— Fałszywy wstyd — rzekł zarumieniony Dinamos — kazał mi zataić przed tobą to wyznanie. Tak, pokochałem śliczną dziewicę z Miletu. Jest tak piękna, że gdy stanie nad morzem, jego zwierzcnie fale ciągle przybiegają do brzegu, ażeby odbić w sobie jej obraz i odnieść go głębszym. Jest tak dobra...

— Nie wątpię o tem — przerwał Izos — ale czy zbadałeś, że niema ani jednego człowieka, któryby o niej mówił przeciwnie?

— Ja ją widzę taką...

— A czy nie zastanowiłeś się nad tem, że może ty sam tylko taką ją widzisz, że innym przedstawia się ona gorzej, nawet bardzo źle...

— Nie przypuszczam, a zresztą moje uczucie mi wystarcza i nie potrzebuję go potwierdzać cudzemi.

— Słusznie. Gdyby wszakże ktoś uznał ją za brzydką i złą, czy nazwałbyś go niesprawiedliwym?

— Naturalnie.

— Więc kto nie ma twoich oczu, uszu, nerwów, wymagań, gustu... jest człowiekiem złym?

— Ach, ojcie, stawiasz mi sofistyczne potrzaski.

— Nie, mój drogi, ja cię nie chcę mamić, tylko szukam drogi, którą moglibyśmy iść razem.

— Przyznasz, ojczu, że są kobiety, powszechnie uważane za piękne i dobre, lub brzydkie i złe. Do pierwszych należy Lota...

— Wierzę, gdybyś jednak tę Lotę dał niemowlęciu, pozbawionemu piersi matczynej, czy byłoby nią zachwycony?

— Ależ ona jest dziewicą.

— Zatem dziecko ssące przeniosłoby nad nią najszpetniejszą mamkę?

— Któż temu przeczy?

— Ja — nie. Pisałeś mi z drogi, że cię niezmiernie oburzył wódz spartański, który knuł z Persami zdradę przeciw ojczyźnie.

— Nikczemnik! Kruki zdychać będą, jedząc go po śmierci.

— A czy jesteś pewny, że on nie byłby sumiennym i troskliwym pasterzem kóz?

— Łotr pozostanie zawsze łotrem.

— W takim razie, nie naczepawszy sitem wody, która przez nie przeleci, połamiesz je jako bezużyteczne nawet do przesiania mąki?

— To co innego. Są ludzie w każdej czynności podli.

— I ja widzę różnicę. Narzędzia stwarza człowiek i wyraźnie wskazuje ich użyteczność, więc wszystkie są przydatne; ludzi zaś stwarza natura i nie objaśnia, do czego są zdolni, więc niektórzy tylko, odgadnięci w swej użyteczności i niezblądani w swym przeznaczeniu, wydają nam się rozumni i uczciwi. Gdybyśmy wszyscy zdołali poznać swoje przyrodzone cele...

— Tobyśmy zbrodniarzów dusili w kolebkach.

— Ludzkość była ostrożniejsza od ciebie, bo nie wyniszczyła krzewów, których owoce wielu otruły i dociekła potem, że one także bywają lekiem.

Dinamos rozdrażniony i gniewny umilkł. Opanowawszy się rzekł:

— Kochany ojczu, do jakiej prawdy wiesz mnie po tych manowcach?

— Ani sam, ani ze mną nie dojdiesz do żadnej, dopóki będziesz miał myśl gniewem spętana. Namiętność grzeje, ale nie świeci. Czy Platon ci o tem nie wspomniał?

— Owszem, ale on...

— On jest większy od nas wszystkich, wiem o tem; szewc jednak uszyje sandały zarówno przy kaganku, jak przy słońcu, a kropla rosy jest tak samo wodą, jak rzeka. Są więc prawdy, które ja, prosty ogrodnik, dostrzedz mogę, nie mając orlego wzroku Platona. Bądź jeszcze chwilę cierpliwy, niedługo już drażnić cię przestanę. Odpowiedz mi tedy: gdybyś barbarzyńcom, nieznającym naszych narzędzi, zawiózł je i nie nauczył ich używać żadnego statku, czy domyśliliby się odrazu, do czego służy zgrzebło lub dłuto snycerskie?

— Nie.

— Czy mogłoby się zdarzyć, że dłuto oprawiliby w długi kij dla przebijania wrogów na wojnie?

— Tak.

— A zatem to narzędzie, którem my stwarzamy posągi, w rękach barbarzyńców służyłoby do mordowania ludzi?

— Zapewne.

— Otóż mnie się zdaje, że podobnie zachowują się ludzie względem siebie: kochają tych, których wartość dla siebie odgadli, a nienawidzą tych, których użyteczności nie znają, w obu zaś wypadkach, a co najmniej w drugim, postępują niesprawiedliwie.

Dinamos zamyślił się nad tą uwagą. Izos, wpatrzywszy się w niego czule, mówił dalej:

— Czy nie zgodziłbyś się na to, że każdy bez wyjątku człowiek jest skarbczykiem, w którym spoczywa zamknięte, większe lub mniejsze dobro, i że on potrzebuje znaleźć kogoś, kto go potrafi otworzyć i ten klejnot z niego wyjąć? Ludźmi wartościowymi przeto byłiby ci, do których wielu klucz posiada, a niegodziwcami tacy, do których go nikt nie znalazł.

— Dobrze, mój ojczu — zawołał Dinamos, obejmując Izosa — więc nie będę nikogo nienawidził, ale nie żądam, żebym nie kochał.

— Tego nie wymagam — rzekł wzruszony starzec — bo i ja muszę kochać ciebie.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dwaj-filozofowie/>

Tekst opracowany na podstawie: Aleksander Świętochowski, Bajki [Pisma, T. III], G. Gebethner i Spółka, Kraków [1897].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybówie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0827-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.